



# Raz na wozie,

**ZYGMUNT ZADORA-PASZKOWSKI, geodeta polskiego pochodzenia, potomek emigrantów z armii Andersa, opowiada o swej drodze przez argentyńskie Andy, Patagonię i pampasy aż do kanadyjskiej prerii...**

**KATARZYNA PAKUŁA-KWIECIŃSKA: Jak się pan znalazł w Argentynie?**

**ZYGMUNT ZADORA-PASZKOWSKI:** Urodziłem się we Włoszech w Drugim Korpusie Polskim, a do Argentyny trafiłem, mając zaledwie dwa lata. Moi rodzice, którzy walczyli i w wojnie obronnej 1939 r., i w Powstaniu Warszawskim, postanowili nie wracać po wojnie do Polski. Zjawiliśmy się w Buenos Aires w 1948 r. razem z tysiącami żołnierzy i oficerów z armii Andersa, którzy przybywali z Anglii pełnymi statkami. Nawiasem mówiąc, dzięki tym uciekinierom z Polski miałem później pierwszą styczność z geodezją. Jako dziecko jeździłem z polskimi geodetami na pomiary zapory w prowincji La Rioja u podnóża Andów. Przeważnie byli to artylerzyści, którzy w czasie wojny walczyli w Afryce, na Sycylii czy pod Monte Cassino.

W 1948 roku Argentyna była krajem mlekiem i miodem płynącym, bo w czasie wojny dorobiła się na handlu żywnością, głównie mięsem. Sprzedawała je wszystkim stronom konfliktu, bez różnicy. Ale okres prosperity szybko się skończył. Już w 1952 r., kiedy umarła Evita Peron [druga żona prezydenta Argentyny

Juana Domingo Perona, działaczka społeczna – red.], było bardzo źle.

**Czyli Argentyna przywitała was przyjaźnie?**

Nie bardzo. Ojca zaraz po przybyciu aresztowano, tylko zdążył zejść ze statku. Matka ze mną na rękach została na pokładzie. Pechowo trafiło się akurat trzy dni wolnego: sobota, niedziela i 9 lipca (Dzień Niepodległości), i w urzędzie migracyjnym nie było żadnego oficera, który mógłby podjąć decyzję. A matka, nie znając hiszpańskiego, nie wiedziała, co się dzieje. Okazało się, że ojciec był niemiłe widzianym imigrantem ze względu na inwalidztwo (stracił nogę w czasie obrony Warszawy w 1939 r.). Miał jednak specjalne pozwolenie władz argentyńskich na przyjazd, bo był człowiekiem wykształconym. Skończył na Politechnice Lwowskiej dwa kierunki: agronomię i chemię. Kiedy to świętowanie wreszcie się skończyło, zjawił się jakiś oficer, przejrzał papiery ojca i dopiero wtedy go zwolnili.

**Jak rodzice radzili sobie na emigracji?**

Na początku pomógł nam trochę mój ojciec chrestny. Idąc za jego radą, ojciec wystarał się o posadę inżyniera agrono-

ma w prowincji La Rioja, 1200 km na północny zachód od Buenos Aires. Pojechaliśmy razem z całą grupą znajomych, ale tam nam się nie powiodło. Później ojciec pracował jako enolog, czyli specjalista od badania win. W głębi Andów odwiedzał miasteczka, których nawet nie było na mapach. Ciężka i głodna emigracja w końcu wypchnęła nas do stolicy prowincji również o nazwie La Rioja, gdzie ojciec zyskał sławę po tym, jak opracował środek, który od ręki trzeźwił ludzi znajdujących się pod wpływem alkoholu. Wykładał też na Uniwersytecie Cuyo, a w domu miał własne laboratorium. Pamiętam, że w okresie, kiedy kończyłem gimnazjum handlowe, dom nieraz pełen był chemicznych oparów. Niestety, na miejscu nie było dla mnie odpowiedniej uczelni i po 15 latach życia w La Rioja rodzina musiała się przenieść z powrotem do Buenos Aires.

**Na przedmiot studiów wybrał pan oczywiście geodezję?**

Otóż nie, wstąpiłem na politechnikę (Universidad de Buenos Aires) i zacząłem studiować mechanikę, która była wtedy moją pasją. Cztery lata nauki przeszło w bardzo trudnych warunkach finansowych (równoległe pracowałem m.in. jako robotnik), a przede wszystkim politycznych (ciągłe krwawe rozruchy, napady, porwania). Studia były wprawdzie bezpłatne, ale trzeba było za coś żyć. W końcu zdecydowałem się zmienić kierunek na geodezję, która wydała mi się jeszcze bardziej interesująca niż mechanika. Kończąc w 1973 roku studia w czołówce rocznika, wiedziałem, że mam do geodezji talent i powołanie. Ale o pracę było bardzo trudno. Jeszcze przed uzyskaniem dyplomu poznałem moją przyszłą żonę, która w 1969 roku przyjechała z Zamościa do Buenos Aires odwiedzić swoją ciotkę. Do Polski już nie wróciła, zdecydowała się dzielić losy z biednym inżynierem geodetą.

**Jaka była pana pierwsza praca w zawodzie?**

Kiedy w 1973 r. do władzy powrócił Juan Domingo Peron [był prezydentem w latach 1946-55 i 1973-74 – red.], żyliś-



Zofia i Maciej Paszkowsky w armii Andersa, 1947 r.

# raz pod wozem



**INGENIERIA TAURO**  
S.A.I.C.I.F.  
construcciones civiles e industriales

acoyte 108-36 - buenos aires  
teléfonos 90-1005-6-1010-1013 al 19  
dir. cabl. tauro - telex 012-2371 ar. tauro



Młody inżynier Zygmunt Zadora-Paszkowski – „gardło Tauro”, Patagonia, 1975 r.

my w leżącej na południu kraju Patagonii z dala od problemów politycznych. Pracę jako geodeta zdobyłem zupełnie przypadkowo. Asystent mojego profesora z politechniki usłyszał, że władam czterema językami: hiszpańskim, polskim, włoskim i angielskim. Geodety poligloty szukało akurat międzynarodowe konsorcjum, które szykowało się do budowy w Patagonii ogromnego zakładu wzbogacania rudy żelaza. A że asystent ten znał mnie z wcześniejszych prac, polecił mnie firmie i tak zostałem u nich naczelnym geodetą. To był dla mnie ogromny skok finansowy, mogłem wreszcie pomóc rodzicom i założyć własną rodzinę.

Ale nie miałem na tej budowie łatwego życia. Pomiary wykonywało się jeszcze taśmą i teodolitem z odwróconym obrazem, a obliczenia – za pomocą suwaków i tablic logarytmicznych. Do tego pomiary utrudniały ciągłe wiatry, które w Patagonii były o wiele silniejsze

Praktyki studenckie z geodezji wyższej w Andach, 1973 r.

aniżeli w Andach, gdzie odbywaliśmy uczelniane praktyki z geodezji wyższej. Z tych studenckich czasów utkwiło mi w pamięci podróżowanie po górach na mułach i mieszkanie w namiotach. Byliśmy nawet w pobliżu szczytu Aconcagua – najwyższego w Andach. Przypomnę, że nasz rodak Wiktor Ostrowski zdobył go nietypową drogą i do dzisiaj nazywa się



ona *La pared de los Polacos* (Ściana Polaków).

**Ale wróćmy do 1973 r. w Patagonii.**

Inwestycja była realizowana w górach zbudowanych z kwarcytu, skały twardszej od granitu. Dlatego najpierw tyczyłem wszystko to, co należało wysadzić dynamitem, aby móc „wciąć się” w górę i postawić tam silosy, młyny, hale itd. Kiedyś przypadkiem ominąłem całą sieć zabezpieczeń i nieświadomy grozy sytuacji robiłem pomiary, gdy nade mną zaczęto wysadzać skały. Kamienie i głązy leciały z góry na mnie i samochód jak w jakimś filmie katastroficznym. Przywarłem do ściany skalnej i tylko cudem nic we mnie nie trafiło. Przy silnych wiatrach trudne było pionowanie silosów, ale tam nawet prozaczne tyczenie punktów było uciążliwe, bo za każdym

razem trzeba było kuć w skałę.

**Całkiem nieźle jak na początek kariery...**

W 1974 roku umarł prezydent Peron i władzę objęła jego trzecia żona Isabelita, której nieudolne rządy umożliwiły działanie partyzantce komunistycznej wspieranej przez Fidela Castro. Argentyna, podobnie jak inne kraje Ameryki Połu-



W Andach nad chmurami, 1973 r. Pomiar dalmierzami radiowymi pod koniec studiów

dniowej, przekształcała się w piekło. Akty terrorystyczne, napady, morderstwa były na porządku dziennym. W tym okresie firma skierowała mnie w głąb pampasów do miasta San Pedro, gdzie objąłem stanowisko głównego geodety na budowie zakładów papierniczych. W ciągu czterech lat pracy przy tej inwestycji zyskałem doświadczenie, jakie niewielu geodetów ma szansę zdobyć. Pomiary na powierzchni wielu kilometrów kwadratowych były wykonywane z różnymi dokładnościami: od metrów po setne części milimetra. Od robót ziemnych i tyczenia portu nad rzeką Baradero, poprzez tyczenie ponad 1000 pali i pionowanie konstrukcji, po precyzyjny montaż maszyn. Do niwelacji używałem Wilda NAK2 z nakładką mikrometryczną i inwarową łątą.

#### Miał się pan kogo poradzić w sprawach technicznych?

Skądże! Inżynierowie, których prosiłem o pomoc, zwykle sami niewiele wiedzieli, więc wiedzę czerpałem z książek. Żeby nie popełnić poważnego błędu, starałem się mierzyć o rząd dokładniej. Wachlarz problemów był bardzo szeroki. Główna hala papierni miała ponad 250 m długości i ponad 30 m wysokości. Pionowanie słupów, ustawianie i montowanie fundamentów pod maszyny, wreszcie pomiary przemieszczeń były bardzo złożone. Przez całą długość głównej hali biegła suwnica, którą trzeba było zmontować z dużą precyzją.

Najgorsze było to, że czasami musiałem chodzić po belce o szerokości 50 cm pełnej wystających bolców ze statywem w jednej ręce i teodolitem w drugiej. Wszystko to 30 metrów nad ziemią, bez żadnej asekuracji! Nigdy wcześniej ani później nie pracowałem w tak niebezpiecznych warunkach. Wymagało to naprawdę wiele samozaparcia. Koledzy bali się tej pracy i nie chcieli mi nawet asystować. Pewnego razu, aby złapać równowagę, upuściłem obudowę od teodolitu, która rozbiła się na kawałki 30 metrów niżej, ale uratowałem siebie i instrument. Mimo to dostałem od szefa reprimendę, że „nie dbam o sprzęt”.

#### Jaki był pana status jako geodety w Argentynie?

Firma, w której pracowałem, nazywała się Ingenieria Tauro (Tauro to imię). Na mnie mówili „la garganta de Tauro”, czyli „gardło Tauro”, bo każdy budowany obiekt musiał „przejsz” przeze mnie, czyli zostać zaakceptowany. Mierzyłem i dawałem pozwolenie np. na wylewanie betonu, a potem sprawdzałem poprawność wykonania. Wszystko musiało być skontrolowane, bo nie można było sobie pozwolić na popełnianie błędów. Moja pozycja w hierarchii budowy była bardzo wysoka. Płacili dobrze, ale też byłem do dyspozycji 24 godziny na dobę, jak trzeba – nawet w środku nocy. To była jedna z niewielu firm, która zatrudniała geodetę na stałe.

Kiedyś w głównym budynku na długości prawie 30 metrów zawalił się dach. Na szczęście stało się to w nocy i nikt nie ucierpiał. Prowadzono dochodzenie, by znaleźć przyczynę katastrofy. Teoretycznie wszystko było dobrze obliczone, wykonane itd. Sądziłem, że powodem katastrofy mogły być ruchy konstrukcji spowodowane różnicą temperatur między dniem i nocą. Przyczyna okazała się jednak bardzo prozaiczna. Robotnicy, którzy wykańczali dach, złożyli na nim w jednym miejscu dużą ilość piachu. W nocy spadł deszcz, woda wsiąkała w piasek, zwiększając jego ciężar do tego stopnia, że konstrukcja nie wytrzymała. Zwolnili inżyniera budowlanego odpowiedzialnego za to niedopatrzenie.



Na budowie zakładu wzbogacania rudy żelaza. Gotowy pierwszy silos na tarasie „wyciętym” w skale, Patagonia, rok 1974



Budynek główny papierni o długości 250 m. Na dole widoczne kotwy, na których z dokładnością ułamka milimetra umieszczano metalowe podstawy pod maszyny. Żmudna robota. Pampa, 1977 r.

## Gdzie była rodzina w czasie, kiedy pan jeździł po budowach?

Na takich budowach kadra inżynierska mieszkała wraz z rodzinami. Jako geodeta miałem opłacony dom, ogrzewanie, paliwo do samochodu itp. Często zmienialiśmy miejsce zamieszkania, ale byłem na to przygotowany, bo taki wybrałem sobie fach.

## Czy żona pracowała wtedy zawodowo?

Już nie, bo zajmowała się dziećmi. Ale kiedy studiowałem jeszcze na politechnice, pracowała w firmie kosmetycznej Heleny Rubinstein, polskiej Żydówki, która powiedziała, że Polki będą zawsze miały u niej miejsce. Pomagałem żonie, tłumacząc jej kursy kosmetyczne z hiszpańskiego na polski. Natomiast później w Kanadzie związała się z firmą Estee Lauder i tym razem tłumaczyłem z angielskiego na polski. Tak więc w kosmologii mam pokończone te same kursy co żona (*śmiech*).

## Czyli w Kanadzie powtórzył się schemat, że żona na początku razem z panem pracowała na utrzymanie?

Tak, ponieważ byliśmy dużą rodziną. Najpierw ściągnęliśmy z Argentyny teściową, która pomagała nam w opiece nad dzieckiem, a później moich rodziców. Nasze dzieci miały dziadków przy sobie przez całe swoje życie. Nie tak jak ja. Dziadków ani ze strony ojca, ani matki nigdy nie widziałem, bo poumierali, zanim pierwszy raz przyjechałem do Polski.

## Jeszcze w czasie pobytu w Argentynie porwał się pan na pisanie podręcznika do geodezji.

Kiedyś na budowie papierni wybuchł strajk robotników, który trwał ponad cztery miesiące. Inżynierowie musieli jednak być na stanowiskach, mimo że nie było nic do roboty. Pomyślałem wtedy, że nie będę marnował czasu na grę w karty. Postanowiłem napisać podręcznik do geodezji. I mimo docinków kolegów udało mi się w tym czasie przygotować zwięzłe



Pomiary punktów triangulacyjnych pod zaporą Dicksona. Punkty pierwszego rzędu były co 30 km, więc kontaktować się można było tylko przez tellurometr (dalmierz), który miał też zakres radiowy do komunikacji głosowej. Kąty nadal mierzono teodolitem, 1980 r.

opracowanie „Manual de Mantenimiento Geodesico de Obras Industriales y Prensas” (Podręcznik obsługi geodezyjnej przy robotach przemysłowych i zaporach wodnych). Książka została od razu wydrukowana przez firmę Zeiss-Jena w Argentynie. Ciekawostką jest to, że bibliografia zawierała same polskie nazwiska: Sadownik, Kamieński, Lipiński, Szpunar, Hausbrandt, Kamela, Janusz, Łukasiewicz, Piasecki czy Kłuzniak, których oczywiście Argentyńczycy nie znali.

## A pan skąd znał te polskie nazwiska?

Wielu z tych autorów było uczniami mego dziadka profesora Wacława Paszkowskiego i „dla wnuka profesora” wysyłali wszystkie możliwe polskie podręczniki geodezyjne. Wiele z nich nawet

z dedykacją! Zgromadziłem kolekcję ponad 50 tomów różnych opracowań i ćwiczeń geodezyjnych, które przestudiowałem na obczyźnie. Bardzo mi się przydała znajomość polskiego i muszę powiedzieć, że czuję się, jakbym skończył politechnikę w Polsce!

W końcu zainwestowałem także w wyposażenie, kupiłem teodolit Theo 020A oraz niwelator Ni25 i byłem wśród kolegów geodetów jedynym, który posiadał własny komplet sprzętu geodezyjnego. Potem napisałem kilka artykułów, które zostały opublikowane w Europie w magazynie „The Jena Review”, a dotyczyły porównania Theo 020A z Wildem T1A.

W 1976 roku Isabelita Peron została obalona, a władzę przejęła junta wojskowa. To były bardzo krwawe rządy, zaczęto masowo eliminować ludność o przekonaniach komunistycznych. W tych warunkach na początku 1978 roku, po 30 latach pobytu w Argentynie, wyemigrowałem do Kanady szukać lepszego miejsca do życia dla swojej rodziny. Pracę w dżunglach i na bagnach, pomiędzy węzami, skorpionami i pajakami zamieniłem na pracę na prerii i w lasach wśród jeleni, losi i niedźwiedzi.

## Poziom życia w Kanadzie i Argentynie?

Nieporównywalny, poza tym Kanada to o wiele lepiej zorganizowany kraj. Przeprowadzka przyniosła mi tak potrzebną stabilizację. Ułatwieniem było to, że dobrze znałem język angielski.

Syberyjskie warunki na prerii, 1980 r.





Już po żniwach. Zadora-Paszowski z tachimetrem Sokkia (2008 r.), obecnie używa bezlustrwego Nikona

ski, ale obyczaj, warunki pracy i życia czy nawet system geodezyjny były całkiem odmienne. Trzeba było się nauczyć i przywyknąć. W Argentynie pracowałem w temperaturach dochodzących do +50° C, a w Kanadzie do -40° C. Na takiej „Syberii” było mi ciężko, organizm nie był do tego przyzwyczajony.

Dość szybko trafiłem do prowincji Alberta, która ma powierzchnię dwa razy większą niż Polska. To w sporej części preria z ogromnymi złożami gazu, węgla, a przede wszystkim ropy naftowej, której jest tu więcej niż w Arabii Saudyjskiej. Moje pierwsze fachowe kroki to było założenie osnowy fotogrametrycznej, potem tyczenie rurociągów, niwelacja przy badaniu osiadania ciężkich maszyn, triangulacja przy zaporze Dicksona i obsługa budowy dużych osiedli mieszkaniowych. Na szczęście w Kanadzie do prowadzenia obsługi budownictwa geodeta nie potrzebuje żadnych uprawnień, wystarczy, że jest ubezpieczony (tylko przy pracach związanych z katastrzem wymagane są uprawnienia).

Już na samym początku pobytu trafiłem na ciekawe zajęcie przy XI Igrzyskach Wspólnoty Narodów, które odbyły się w Edmonton w 1978 r. Wtedy to po raz pierwszy w Kanadzie wyniki rzutu młotem, oszczepem i pchnięcia kulą były mierzone bez użycia taśmy! Pierwszy raz spotkałem się też wtedy z tachimetrem AGA, trzy razy większym niż współczesne dalmierze i zasilanym z akumulatora samochodowego [fot. na okładce – red.]. Najpierw wytyczyliśmy osnowę, obliczyliśmy współrzędne miejsc, z których sportowcy wykonywali rzuty, i tych, w których były ustawione instrumenty. Pomiar odbywały się z użyciem lustra, a do obliczeń służyły komputery i kalkulatory HP25, w owych czasach szczyt techniki.

Pamiętam, że kazano nam wyłączać laser w dalmierzu, gdybyśmy chcieli po-

patrzeć przez lunetę na... królową Elżbietę II! Nawiasem mówiąc, gdy królowa przyjechała, mnie akurat nie było na stadionie. Czekałem w szpitalu na narodziny syna. To było dla mnie o wiele ważniejsze. Możliwe, że królowa się na mnie obraziła, bo od tamtej pory nigdy do mnie nie zadzwoniła! (śmiech)

### Ale poza tym wszystko układało się pomyślnie?

Do czasu, gdy po paru latach zapanował w Kanadzie kryzys i straciłem dużą część majątku. To był bardzo trudny okres w naszym życiu, zwłaszcza że miałem na utrzymaniu osiem osób. Oprócz żony, dwóch córek i syna mieszkali z nami moi rodzice i teściowa. Wtedy postanowiłem założyć firmę Western Surveys Group Ltd. i zacząć pracować na własny rachunek. Nie miałem, co prawda, nostryfikowanego dyplomu, ale według tutejszego prawa mogłem wykonywać pomiary inżynierskie. Natomiast do prac katastralnych najmowałem geodetów z uprawnieniami.

Po niecałych trzech latach, gdy zaczynałem już wychodzić na prostą, nastąpiła jeszcze większa katastrofa spowodowana fatalną polityką gospodarczą premiera Pierre'a Trudeau. Okazało się, że wszyscy moi klienci zbankrutowali. Nie było już zleceń ani na lekarstwo... Zdesperowany zatrudniłem się w biurze katastru (Land Titles Office). Tam nauczyłem się wielu ciekawych rzeczy i postanowiłem na tej podstawie opracować i prowadzić kursy prawno-geodezyjne. W rezultacie przez ponad ćwierć wieku wykładałem przedmioty katastralne w Instytucie Technologicznym Północnej Alberty (NAIT). Artykuły na ten temat były drukowane m.in. w GEODECIE [„Granice w Kanadzie” 3/1999 i „Kondominia w Albercie” 12/2010], a w listopadzie 2011 roku zaproszono mnie na Trzeci Kongres Katastralny w Warszawie, gdzie wygłosiłem refe-

rat. Moje szkolenia do dzisiaj cieszą się sporym zainteresowaniem, uczestnikami są adwokaci, inżynierowie, menedżerowie, rzeczoznawcy majątkowi, a także pracownicy różnych szczebli administracji. Ja zaś cieszę się... zarobkiem, bo jako jedyny w prowincji prowadzę tego rodzaju wykłady.

### Jak pan wpadł na pomysł tych kursów?

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że fachowcy z innych dziedzin nie mają większego pojęcia o sprawach prawno-geodezyjnych, bo tego nie wykłada się na uniwersytetach. I mimo że początkowo zostałem wyśmiany przez swoich współpracowników, myślę, że zrobiłem dobry interes. Kilka razy występowałem nawet w sądzie jako biegły i za każdym razem moja strona wygrywała. Ale „*el que rie ultimo rie mejor*”, czyli ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Szczegrze mówiąc, jestem dumny, że to Polak był w Albercie tym, który takie wykłady stworzył.

### Jak długo pan już uczy?

Gdyby policzyć wszystko, to około 50 lat! Otóż swoich kolegów zacząłem uczyć matematyki jeszcze w gimnazjum, potem jako student dorabiałem korepetycjami. Już jako inżynier prowadziłem wykłady dla specjalistów i współpracowników zarówno w Argentynie, jak i w Kanadzie. Wykładałem w trzech językach i chyba idzie mi to całkiem nieźle. W końcu jestem wnukiem profesora i synem inżyniera. Mój dziadek prof. Waław Paszkowski, zwany „ojcem żelbetnictwa polskiego”, zaprojektował i zbudował wiadukt mostu Poniatowskiego i żelbetowe konstrukcje wież kościoła pod wezwaniem Zbawiciela w Warszawie. Był jednym z założycieli Związku Inżynierów Budowlanych (dziś PZITB). Mam nawet w rodzinnym archiwum zdjęcie marszałka Piłsudskiego, który stoi na moście Poniatowskiego. Skoro o Marszałku mowa, to jego adiutantem był Leon Kniaźiołucki. Moja babka, z domu Kniaźiołucka, była siostrą stryjeczną Leona; a właśnie mój wuj Zygmunt Kniaźiołucki, który skontaktował mnie w 1997 roku z redakcją GEODETY, był synem adiutanta. Tak się złożyło, że mieszkał piętro nad redakcją.

Z kolei bratem mojej praprababki był kardynał krakowski Albin Dunajewski, którego popiersie stoi na Wawelu. Jedyna rzecz, która została nam po kardynale, to modlitewnik oprawiony w kość słoniową przekazywany z pokolenia na pokolenie. Teraz ja jestem spadkobiercą tej wyjątkowej pamiątki.

### A kto nauczył pana polskiego?

Na pustyni u podnóża Andów polskich szkół oczywiście nie było! To dzięki rodzicom patriotom nauczyłem się polskiej mowy i obyczajów. W zasadzie dopilno-



Rodzina w komplecie. Z lewej Zygmunt Zadora-Paszkowski, w środku matka Zofia i żona Elżbieta, Edmonton, 2010 r.

wała tego matka. Potem były kursy korespondencyjne. Gdy miałem 18 lat, przenieśliśmy się do Buenos Aires. A tam starzy polscy endecy organizowali koła, w których polską młodzież uczyli m.in. języka i... jak walczyć z komunizmem. Większość tej „młodzieży” to już dzisiaj ludzie starsi, i wielu z nich wyemigrowało później do Australii, Stanów Zjednoczonych, Hiszpanii czy Kanady.

Pamiętam też, że za młodszych lat zostałem zaproszony do Włoch przez mego stryja (1966 r.). Postanowiłem wtedy pojechać na cmentarz pod Monte Cassino. Gdy zobaczyłem ten las polskich krzyży pod ogromnym orłem z białego kamienia, to sobie przyrzekłem przed Bogiem, że nigdy nie wyprę się swej polskiej krwi!

#### Kiedy po raz pierwszy przyjechał pan do Polski?

Miałem już 40 lat, gdy w roku 1986, czyli jeszcze za komuny, wylądowałem w Warszawie. Pierwsze, co zrobiłem, to pojechałem na Stare Miasto zobaczyć Kolumnę Zygmunta i Zamek Królewski. A na drugi dzień wybrałem się zamoczyć rękę w Wiśle – to był dla mnie taki symboliczny polski chrzest.

Gdy przyjechałem po raz drugi, był rok 1997, wylądowałem w Warszawie w chwili, kiedy papież Jan Paweł II lądował w Gdańsku. Podczas mojej trzeciej podróży Polska należała już do NATO, potem do Unii Europejskiej. Naprawdę widzę wielki postęp w naszym pięknym kraju.

#### Jak się dzisiaj miewa pana rodzina?

Z żoną na wakacjach w Meksyku, 2011 r.

Ojciec zmarł w Kanadzie w 1993 r., ale matka żyje i liczy sobie 94 lata. Córki są zameżne i dawno po studiach. Syn, magister inżynier budownictwa, poszedł w ślady swego pradziadka profesora i jest dyrektorem jednej z największych firm budowlanych na zachodzie Kanady. To już piąta generacja inżynierów w linii prostej. Mam czworo wnucząt (dwoje na studiach) i z dumą muszę powiedzieć, że wszyscy – mimo że urodzeni i wychowani poza ojczyznę – mówią i piszą po polsku!

#### A młodzi nie buntowali się, że muszą się dodatkowo uczyć polskiego?

Wiadomo, próbowali, jak i ja swego czasu, ale nie mieli szans. Moi rodzice mnie wychowywali z autorytetem i ja swoje dzieci również. Oczywiście, kiedy mama kazała mi czytać „Trylogię” czy „Krzyżaków”, strasznie się przy tym męczyłem. Musiała mi dużo tłumaczyć, bo

przecież to nie był język współczesny. Z kolei ja swoje dzieci przez 13 lat woziłem w soboty do polskiej szkoły. Ale wnuki chodziły już do polsko-angielskiej szkoły w Edmonton, zresztą jedynej takiej na całą Amerykę Północną.

#### Pracuje pan jeszcze zawodowo?

Choć od pięciu lat jestem na emeryturze, a od 17 lat nie pracuję już w Land Titles Office, to często tam bywam w sprawach związanych z własną firmą. Geodezja wciąż mnie pasjonuje. Nadal wykonuję pomiary, bo to najbardziej lubię. Lubię też robić obliczenia i rysować mapy,

zwłaszcza że teraz komputery i dalmierze tak bardzo to ułatwiają.

#### A w jakim języku liczy pan w pamięci?

Liczę po hiszpańsku, choć trochę już ten język zapominam, bo nie używam go na co dzień. Ale oglądamy z żoną telenowełe z Meksyku, żeby nie wyjść z wprawy. Natomiast w domu zawsze rozmawialiśmy i rozmawiamy po polsku, i z rodzicami, i dziećmi. I modlę się po polsku.

#### Czuje się pan Polakiem?

Absolutnie tak. Jak jest mecz piłki nożnej, to dla mnie zawsze na pierwszym miejscu jest Polska, na drugim Argentyna, na trzecim Kanada, a na czwartym Włochy, gdzie się urodziłem. U nas w rodzinie wszyscy jesteście Polakami.

Rozmawiała Katarzyna Pakuła-Kwiecińska

Zdjęcia ze zbiorów  
Zygmunta Zadora-Paszkovskiego

